

JERZY S. WASILEWSKI

Instytut Etnologii i Antropologii Kulturowej UW, Warszawa

OYUNGEREL TANGAD

Instytut Archeologii i Etnologii PAN, Warszawa

KAMILA BARANIECKA-OLSZEWSKA

Instytut Archeologii i Etnologii PAN, Warszawa

SŁAWOJ SZYNKIEWICZ (1938–2023). TRZY WSPOMNIENIA

SŁAWOJ

Odejście osoby znaczącej to moment, w którym odczuwamy – przyjaciele, koledzy, współpracownicy Zmarłego – potrzebę refleksyjnego bilansu. Obejmuje on w pierwszej kolejności przypomnienie i podsumowanie jego policzalnego dorobku. W przypadku akademika będą to osiągnięcia intelektualne – zarówno tytuły publikacji, jak i tytuły naukowe, które je zwieńczyły. Osiągnięcia te mają swoją przeszłość – są przecież efektami wcześniejszych studiów i prac badawczych, ale mają też dalsze losy – stają się zauważalną częścią dyscypliny naukowej, oddziałują na innych, poszerzają naszą wiedzę i rozumienie.

W przypadku profesora Sławoja Szynkiewicza taki wstępny bilans dorobku naukowego został dokonany już przed kilkoma laty, z okazji jubileuszu Jego 80-lecia w macierzystym Instytucie Archeologii i Etnologii PAN. Mówiliśmy wtedy o Jego książkach, artykułach, dydaktyce akademickiej i pracy popularyzatorskiej. To podsumowanie zostało utrwalone w druku (Kabzińska 2018), także na tych łamach (Tangad 2017).

A przecież pozostaje po Zmarłym coś jeszcze, czego nie da się łatwo zawrzeć w bilansie dokonań. Trwają w pamięci – i tylko w niej – wspomnienia Osoby; wspólne ekspedycyjne przeżycia i ulotne wrażenia, zasłyszane historie, anegdoty, własne amatorskie próby charakterystyki postaci. I kiedy już ma się pióro w ręku, to z każdym zdaniem okazuje się, jak trudno jest taki pełny wizerunek stworzyć, że mogą to być tylko pojedyncze kreski do portretu – czy trzech portretów: „Sławoja”, „Pana Sławka” i „Profesora”.

*

Co się pamięta z zajęć sprzed ponad półwiecza, prowadzonych przez Sławoja (wtedy doktora Szynkiewicza) jeszcze w ponurej salce Katedry Etnografii na Hożej? Niewiele: ustawicznie nabijaną przezeń fajkę i popisową angielszczyznę. Respekt budziła pozycja tłumacza monografii Malinowskiego (1967; *Argonaucci Zachodniego Pacyfiku*), ale chyba jeszcze większy – fama uczestnika Międzynarodowej Komisji Kontroli i Nadzoru w Wietnamie, gdzie Sławoj trenował język w kontaktach z żołnierzami armii amerykańskiej. Ta angielszczyzna zdradziła nas dwóch nieco później w Mongolii i to, o dziwo, nie w obliczu czujnych mongolskich służb specjalnych, ale w oczach amerykańskiego „dewizowego” myśliwego, spotkanego na Altaju, niedaleko gorącej jeszcze wtedy granicy z maoistowskimi Chinami. Absolutnie nie mógł on uwierzyć, że ktoś tak dobrze mówiący po angielsku znalazł się tu, by nie wiadomo po co prowadzić jakieś „badania etnograficzne”, nie zaś by uczestniczyć w międzynarodowej agencji; upierał się też przy swoim przeświadczeniu do końca naszej znajomości.

Równie płynnie mówił Sławoj po rosyjsku. Słuchałem z podziwem jego długiej mowy, wygłoszonej bez jednego zająknięcia (tak! A nie zawsze przecież tak mówił w języku ojczystym) w samoobronie naszej ekspedycji. Oto trzeba się było bronić przed płynącymi z terenu zarzutami, że jesteśmy szpiegami, którzy zbierają materiały kompromitujące socjalistyczną Mongolię: a to pytają o szamanizm, a to fotografują rozlatujące się drewniane szalety. A wszystko po to, by oczernić ją na Zachodzie, i do tego „za japońskie pieniądze” (to ówczesny topos, propagandowo nośny, bo jeszcze pamiętano, że trzydzieści kilka lat wcześniej Japończycy próbowali napaść na Mongolię). Takie szalone kalumnie groziły unicestwieniem wieloletniego projektu PAN-owskiej ekspedycji, unikalnego przecież na tamten czas! Przed obliczem wiceprzewodniczącego Mongolskiej Akademii Nauk dał wtedy Sławoj popis autentycznie urażonej godności – że oto nas, w tym jego, wiceprzewodniczącego Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Mongolskiej, oskarża się o oczerzianie tego kraju.

Bo przecież Sławoj naprawdę Mongolię kochał. Niejeden raz miałem okazję o tym się przekonać – zarówno w trakcie ekspedycyjnych wyjazdów, jak i w kraju, kiedy już przygotowywaliśmy nasze materiały do obiegu naukowego. W Mongolii podziwiałem jego umiejętność rozmawiania z ludźmi; nie tylko czysto zawodową sprawność w przeprowadzaniu wywiadów etnograficznych, ale i serdeczność jego osobistych kontaktów z tamtejszymi przyjaciółmi i znajomymi. Mogłem tylko zazdrościć mu tych umiejętności i po trosze ich się od niego uczyć.

Robiłem to, patrząc niejako zza pleców – nie miejsce tu, by mówić o sobie, ale przecież nie da się inaczej opowiedzieć o kimś, kto tak wpłynął na nasze, moje, uformowanie, jak tylko odnosząc jego działania do siebie samego. Bo wtedy zobaczyłem w nim... Bronisława Malinowskiego, skrupulatnie badającego argonautów stepu. Mam przed oczami tę rękę, zapisującą kolejne strony kolejnego zeszytu drobnym, starannym pismem (jakże różne to było od moich nieporządných notatek); i słyszę ten głos, spokojnie wypytujący rozmówcę w jurcie o wszystko: o terminy pokrewieństwa i o to, komu przysługują przy jakich okazjach które części baraniej tuszy, albo jaką wysokość miała płatność małżeńska i o dziesiątki innych szczegółów, wydobywanych skrupulatnie, punkt po punkcie, mimo wszystkich wymówek

znużonych interlokutorów: „*meedchguj, bajchguj, chamaguj* – nie wiem, nie ma, wszystko jedno”. Jeśli otrzymałem jakąś szkołę terenowego badania etnograficznego, to właśnie od niego. Krótko mówiąc, był wzorem, był mistrzem, nie uprawiając przy tym żadnego mentorstwa (co najwyżej czasem goniąc mnie, lenia, do roboty). A przy tym ekspedycyjnym druhem, że wspomnę choćby sprawiedliwe dzielenie się przywiezionym na mongolską gastronomiczną pustynię domowym rarytasem – rzadkiej smakowitości piernikowym wypiekiem Teściowej.

Ale takimi pojedynczymi kreskami Jego portretu się nie nakreśli. Trzeba sięgnąć po grubszy pędzel i spróbować poważniej scharakteryzować wartości jego pracy. Zaryzykuję ogólny sąd, że u ich podstawy leżały dwie towarzyszące sobie, a przecież biegunowe postawy: gorąca fascynacja i zimna dociekliwość badawcza.

Fascynacja – tak, bo ówczesna Mongolia koczowników (a nie, jak dziś, „mobilnych pasterzy” albo wręcz poszukiwaczy złota, opasanych detektorami, zwanych z racji swego wyglądu *ninja*, bo Mongolia to dziś dla światowego kapitału *Minegolia*) to był dla nas kraj niecodziennej, nierozpoznanej egzotyckości. Nie wiedzieliśmy jeszcze wtedy, jakim grzechem jest orientalizm (dla nas Orient był czarującą przygodą), nie podejrzewaliśmy, że patrzenie przez nasze okulary i ujmowanie tamtej kultury we własnych, „narzuconych” kategoriach to myślowy kolonializm. Ale to „my” musi się tu bardzo prędko rozejść. To ja tego nie rozumiałem, On – już tak. Mongolską rzeczywistość społeczno-kulturową miał rozpoznaną po paru zaledwie wcześniejszych pobytach.

W jego sądach nie było nic sztucznego, książkowego, gabinetowego. Miał wyjątkowy słuch do realiów społecznych (może wzięło się to z treningu jeszcze funkcjonalistycznego?), a do tego umiejętność budowania uogólnień na podstawie perfekcyjnie prowadzonych badań terenowych: wnikliwych, intensywnych i metodycznych. Uważam Sławoja za antropologa społecznego w najlepszym tego słowa znaczeniu, tzn. za takiego badacza, dla którego właściwym przedmiotem badania jest także symboliczna, a nawet duchowa sfera kultury, ale który te symbole widzi jako kulturowy aspekt życia społecznego i umie je znakomicie na kategorii społeczne przekładać.

Wspominał dawniej, że gdy pierwszy raz zobaczył Mongolię – w przelocie, tylko z okna samolotu, w drodze do Chin i dalej do Wietnamu – to widział pustkę, a w niej rozrzucone z rzadka jurty; zafascynowało go, jak w warunkach takiego rozproszenia formują się relacje społeczne. Ja, o dekadę później, też tę pustkę zobaczyłem, ale zainteresowała mnie inaczej, jako raczej mało społeczna – „przestrzeń”. Dziś doceniam, jak trafnie z pomocą swojego społecznego klucza identyfikował Sławoj to, co jest najważniejsze tam, dla nich, mongolskich pasterzy – a nie tylko dla nas, obcych; Sławoj dobrze wiedział, że zatem także dla badaczy właśnie to powinno być najciekawsze.

Ta uważność, wnikliwość w odczytywaniu autentycznie ludzkiego podłoża czy społecznego kontekstu zjawisk przejawia się w wielu jego pracach. Odnajdziemy ją w studiach nad dramatycznymi torguckimi wędrówkami nad Wołgę i z powrotem, gdzie wydarzenia dziejowe sprzed wieków są interpretowane w związku z procesami etnicznymi zachodzącymi w tej grupie. Zdolność szybkiego rozpoznawania nowych

realiów społecznych i odnajdywania się w zmienionej sytuacji poznawczej zademonstrował Szynkiewicz ćwierć wieku później, kiedy z dwójką młodych współpracowników Oyuną Tangad i Tomaszem Potkańskim dokonał błyskawicznej syntezy innej rzeczywistości po wielkim przełomie ustrojowym 1990 roku (Potkański, Szynkiewicz 1993). Co więcej, umiał ową celność przenieść też na nowy, niemongolski grunt – jego popularnonaukowa książka o Jakutach, mimo że napisana w oparciu na wyłącznie starych, książkowych materiałach mitologiczno-folklorystycznych, zaskakuje trafnością pytań i ustaleń o zasadniczej ważności właśnie w zakresie antropologii społecznej; pracując w materii jakuckich eposów *ołoncho*, potrafił Szynkiewicz odtworzyć społeczny świat tytułowych *Herosów tajgi* (1984).

Szczególną wartość tych prac stanowi nieczęste połączenie – rozumienie kultury jest zarazem rozumieniem ludzi. To na tym chyba gruncie wyrosła specyficzna umiejętność takiego pisanie o kulturze, w którym jej mechanizmy są wskazane trafnie i celnie sformułowane, a jednocześnie jest to osadzone i ugruntowane w bardzo ludzkich realiach. Widać to równie dobrze w całościowej syntetyzacji jego badań mongolskich (*Rodzina pasterska w Mongolii*, 1981), jak i w formach, zdawałoby się, pomniejszych, ale równie syntetycznych. Mam na myśli np. autorską wystawę mongolską w Muzeum Azji i Pacyfiku w 2020 roku; swoje zdjęcia Sławoj zaopatrzył w podpisy, a raczej komentarze. Było to arcydzieło lapidarnej, a zarazem niebanalnej charakterystyki pasterskiej kultury, które mogło powstać tylko po latach jej zażyłej znajomości.

Chyba takiemu właśnie rozumieniu zawdzięczał *Sława* (albo *Sławik*, takiej wersji imienia używali jego rosyjskojęzyczni znajomi) przyjaźń ze strony tyłu Mongołów, zarówno tam, w ich własnym kraju, jak i w Polsce; tyłu ich pomagało Mu tam i tyłu odwiedziło Jego – Ich, Ali i Sławoja – dom. Myślę też, że ta umiejętność zyskała mu przyjaźń i uznanie wśród badaczy europejskich, co przełożyło się na liczne wystąpienia zagraniczne, publikacje obcojęzyczne i częste cytowania (był swego czasu bodaj najczęściej przywoływanym zagranicą polskim etnologiem).

W ostatnich dwóch dekadach pracy badawczej mógł Sławoj zrealizować swoje dawne marzenie: prowadzić pogłębione badania terenowe w Chinach, i to w bardzo różnych ich częściach, zamieszkałych przez grupy mniejszościowe (Tuwińczycy Sinkiangu, Monguorzy Cinghaju, Mongołowie Mongolii Wewnętrznej, Dajowie Yunnanu). Towarzyszyłem mu w tym ostatnim, krótkim wyjeździe, „na południe od chmur”, *yunnan*; jeździliśmy po górskich wioskach wysoko ponad doliną rzeki Nu – akurat tam, bo mówił, że ta nazwa działała na niego magicznie od młodości. Znów, po latach, siedziałem przy nim, a on z zeszytem na kolanach metodycznie wypytywał rozmówców – sołtysów wsi, zwykłych chłopów, członków protestanckich kongregacji, posługujących się w swoich kościołach dziwnie poprzekreślanym europejskim alfabetem do zapisu lokalnej fonetyki – o funkcjonowanie ich odrębności etnicznej w ramach chińskiej biurokracji. Powstało z tych wyjazdów kilka detalicznych opracowań, niestety już nie zszytych w większą całość.

Pełna bibliografia Profesora Szynkiewicza obejmuje niespełna 200 pozycji i nie ma wśród nich tekstów słabych, zwietrzałych ani bagatelnych. Są książki i artykuły – efekty

rzetelnych badań terenowych, są całościowe opracowania w prestiżowych publikacjach międzynarodowych, są kardynalne hasła słownikowe, są wnikliwe recenzje ważnych w świecie publikacji. Jeśli mi żal, że czegoś brakuje, to artykułu o słynnych chińskich brązach (tych sprzed dwóch tysięcy i dużo późniejszych), który miał podsumować jego gromadzoną przez lata wiedzę na ich temat. Niech mi wolno będzie wspomnieć, że pracował nad nim z myślą o tomie dla niżej podpisanego (wspólnie dzieliliśmy fascynację tymi arcydziełami), ale już nie był w stanie uporać się z ogromem nagromadzonego materiału.

Jak każdy rasowy etnograf miał bowiem oko do przedmiotów; szczególnie fascynowały go mongolskie (chińskiego wyrobu) tabakierki – małe klejnociki, materializujące wartości i praktyki społeczne: etykietę, powitanie, rodzinne dziedzictwo itp. Miał też oko fotografa. Jego mistrzostwo w tym obszarze wygodnie zwalniało mnie z obowiązku noszenia ciężkiego aparatu, a potem bez skrupułów korzystałem z Jego zdjęć w swoich publikacjach. Jeśli pamiętam jeszcze mongolski step sprzed ponad półwiecza, to bardziej niż z pamięci – właśnie z Jego fotografii.

Swoją wiedzę i pasję przekazywał nie tylko tekstem drukowanym i obrazem, ale też słowem mówionym na uczelniach – miał wiernych studentów w stolicy, w Łodzi i Siedlcach. Dzielił się tam nie tylko i nie tyle monograficzną wiedzą o Mongolii, ile rozległym rozpoznaniem sytuacji w całej Azji Wschodniej, także w aspekcie politycznym. Będąc świadkiem Jego dydaktyki w Polsko-Japońskiej Akademii Technik Komputerowych, byłem pod wrażeniem tego, jak wszechstronne i systematyczne były programy wykładów na ten temat.

Odszedł wybitny uczony, doceniany bardziej nawet zagranicą niż w kraju, gdzie specjalistów, mogących w pełni rozpoznać ważność jego głosu w tych odległych, a wymagających kwestiach, jest przecież niewiele. Ale tej wielkiej etnograficzno-antropologicznej umiejętności, jaką jest przekładanie własnych obserwacji i materiałów z badań terenowych na mądre uogólnienia oraz zaawansowane generalizacje modelowe czy teoretyczne – tego wszyscy możemy się z Jego spuścizny nadal uczyć.

Jerzy S. Wasilewski

PAN SŁAWEK

Jako dziecko mongolskiego etnografa już od wczesnego dzieciństwa słyszałam nazwisko Szynkiewicz. Ojciec często opowiadał o przygodach podczas wspólnych ekspedycji etnograficznych z polskimi badaczami. Czasem dostawaliśmy kartki noworoczne z Polski, pamiętam też serię naszych zdjęć autorstwa Pana Szynkiewicza w albumie rodzinnym. Bardziej świadomie poznałam go na początku lat 90., kiedy wraz z ojcem uczestniczyliśmy w jego badaniach nad procesem przemiany ustrojowej w Mongolii. Uznał, że nadaję się do pracy w etnologii, i zachęcił mnie do podjęcia studiów na Uniwersytecie Warszawskim. Kiedy przyjechałam do Warszawy, nazwałam go Panem Sławkiem i tak pozostało już do końca.

Wiele razy miałam okazję słyszeć, że Pan Sławek jest osobą, która ma w sobie „coś”. Jak rozumiem, po polsku oznacza to, że człowiek ma w sobie coś ciekawego, pozytywnego, choć trudnego do sprecyzowania. Zabawne, bo w języku mongolskim również funkcjonuje określenie *yumtaj chün*, czyli „człowiek z czymś”. Tylko że oznacza człowieka niemądrego, niezrównoważonego, wariata. Jako etnologowie nie lubimy translacji dosłownych, wolimy pokazać konteksty kulturowe.

Będąc Mongołką, wciąż pewnie określam ludzi w kategoriach mongolskich, bo moim zdaniem jednym z najlepszych wyrazów, który oddaje, kim był Pan Sławek, jest *bujantajchün*, czyli człowiek, który ma *bujan*.

Bujan to sanskryckie *punja*, najkrócej mówiąc, oznacza zasługę otrzymaną za dobre uczynki w poprzednim życiu. W Mongolii jest to jedna z bardzo ważnych kategorii tradycyjnych, ale jednocześnie wciąż znajduje zastosowanie w realiach współczesnego, zmieniającego się świata. *Bujan* oznacza przede wszystkim bogactwo, ale nie tylko w wymiarze materialnym. Można go bowiem mieć w sobie od urodzenia lub nabyć, przywołać czy też dostać. Można również komuś oddać. *Bujan* potrafi uciec, kiedy człowiek zachowa się niewłaściwie, niemoralnie.

Już po wyglądzie można zauważyć, że człowiek ma *bujan*. Sporo moich mongolskich znajomych podczas pierwszego spotkania z Panem Sławkiem podkreślało, że ma on dużo *bujanu*. Jednym z nich był buddyjski mnich Lhagwasüren, u którego gościliśmy w Ułan Bator. Nigdy nie widziałam go tak rozmownego, radosnego, choć onieśmielonego, jak w czasie tego spotkania, ponieważ na ogół był chłodny, pochmurny i mało mówny. Do dziś w pokoju Pana Sławka wisi *chadag*, który dostał od Lhagwasürena. Z pewnością była to wyjątkowa wizyta, sprawiająca wrażenie, jakby znali się oni od zawsze, choć było to tylko jednodniowe spotkanie. Próbowałam opowiedzieć o moim wrażeniu Panu Sławkowi, ale chyba był bardziej skupiony na działalności tego mnicha, na społecznych i ekonomicznych aspektach prowadzonej przez niego fundacji niż na moich spostrzeżeniach.

Bujan oznacza powodzenie w życiu, dobry los, z którym człowiek się rodzi. Potwierdzało się to, kiedy Pan Sławek opowiadał o swoim dzieciństwie, młodości, o pasji etnograficznej, o szczęśliwym spotkaniu z profesorem Witoldem Dynowskim, który na zawsze pozostał jego Profesorem. Opowiadał o pobytach w Wietnamie, Danii, Wielkiej Brytanii, Chinach, Rosji, w Azji Centralnej. Zawsze podkreślał w nich pozytywne lub zabawne momenty, które zostały w jego pamięci. Jakby nie pamiętał o tym, co było negatywne. A jak się jednak okazało, negatywne zdarzenia również były w jego życiorysie. Jego ojca zamordowano w Katyniu, kiedy miał zaledwie rok. Nie pamiętał więc ojca, dorastał bez niego. Wychowała go matka, która była nauczycielką i wędrowała po wsiach pod Białymstokiem, oczekując po cichu na powrót męża. Tylko że Pan Sławek nigdy nie opowiadał o tym jak o osobistym dramacie. W jednej z rozmów powiedział: „Nie miałem ojca, to sobie znalazłem ojca! Profesora Dynowskiego”. Uczył się od niego, szanował go, opiekował się nim, a pod koniec życia wykupił grób na cmentarzu obok niego.

Kiedy ktoś ma *bujan*, może to oznaczać powodzenie w życiu osobistym. Jego żona Alicja Szynkiewicz była podobno najpiękniejszą dziewczyną na Uniwersytecie

Warszawskim. Jej zdjęcie z czasów studenckich Pan Sławek nosił w portmonetce do końca życia. A o córce Ani, prawniczkę, opowiadał zawsze z niebywałą dumą i szacunkiem, że jest niezwykle zaradna i dzielna.

Bujan można rozdawać, wówczas powraca powiększony. Ja i moja rodzina byliśmy intensywnymi odbiorcami takiego *bujanu*. Razem z żoną Alą uczestniczyli właściwie we wszystkich moich obrzędach przejścia, zastępowali nam rodzinę na obczyźnie. Zdarzały się okresy braku czasu i rozluźnienia kontaktów, ale kiedy byłam w potrzebie, np. groziła mi deportacja z Polski z powodu problemów wizowych, zawsze pojawiał się Pan Sławek, stawał w mojej obronie i był przy tym niezwykle skuteczny.

Niemal każde odwiedziny u Państwa Szynkiewiczów kończyły się wręczeniem mi podarunków, wartościowych książek, artykułów, albumów. Pan Sławek nie lubił pouczać, podpowiadać, bardziej wołał pytać i obserwować, jak myślę. Nawet jeśli nie zgadzał się, zawsze dawał poczucie, że mam prawo pozostać przy swoim zdaniu. To jest *bujan* mądrości.

W języku mongolskim jest również termin *nomyn bujan*, *bujan* książek. Człowiek, który pisze książki (mam nadzieję, że artykuły naukowe również), rozpowszechnia *bujan*. Jego książka *Rodzina pasterska w Mongolii* jest jedną z najważniejszych, wyjątkowych, choć niełatwych lektur, które powstały w wyniku wieloletnich ekspedycji etnograficznych z Polskiej Akademii Nauk do Mongolii.

Bujan może też odnosić się do umysłu. Pan Sławek miał umysł ścisły, precyzyjny w skali mikro, ale jednocześnie widział zjawiska w perspektywie makrospołecznej. Wzbudzało to podziw. Z drugiej strony, nadmierna skrupulatność i pasja sprawiały trudności podczas współpracy z nim. Potrafił „wykończyć” rozmówców w trakcie badań terenowych. Sama również padłam ofiarą jego pasji naukowej w czasie wykonywania projektu RCIN kierowanego przez Annę Sokólską-Majchrzak z biblioteki Instytutu Archeologii i Etnologii. Projekt poświęcony opracowaniu jego zdjęć z Mongolii z lat 70.–80. stał się pretekstem, by po czterdziestu latach poszerzyć tematy z tamtego okresu o perspektywę współczesną. Oznaczało to przeglądanie licznych zdjęć na nowo, powrót do tematyki tamtych badań. Robił schematy, opracowywał struktury opisów, zasypywał nas z Anią pytaniami i był bezkompromisowy w egzekwowaniu odpowiedzi. Była to też okazja, by spędzić z Panem Sławkiem dużo czasu na rozmowach o etnologii, o Mongolii, o Chinach. Miał ambicję napisać na nowo etnografię Mongolii. Niestety nie zdążył.

Bujan to bogactwo, posiadanie. Pan Sławek lubił piękne rzeczy, kolekcjonował tanki buddyjskie, tabakierki, dywany, albumy, mapy, książki, listy, widokówki. Ostatnie lata spędzał na katalogowaniu w komputerze artykułów na różne tematy z Internetu. Szczególnie cieszył się ze skanowanych książek z czasów jego młodości, do których nie miał wówczas dostępu. Miał potrzebę porządkowania, systematyzowania, układania. Fascynowały go oazy centralnoazjatyckie, archeologia chińska, sztuka z okresu dynastii Ming. Jego katalog tematyczny ma chyba setki głównych haseł, które potem dzielą się na liczne podtematy. Pieczołowicie przenosił artykuły z jednego folderu do drugiego, kiedy dodawał nowe hasła, ponieważ nie mogły dublować się w różnych miejscach. Być może kiedyś uda się udostępnić ten katalog do publicznego użytku, bo to wartościowe źródło stanu wiedzy na dany temat.

Posiadanie *bujanu* nie oznacza łatwego charakteru. Jednak można powiedzieć, że miał on życie piękne, takie jakie chciał. I odszedł pięknie: w swoim gabinecie, w otoczeniu książek, tank buddyjskich, przy żonie Ali, która trwała przy nim do końca, traktując go jak Zasłużonego. Jestem pewna, że musiał on zasłużyć na taki *bujan* w poprzednim życiu, a w tym wcieleniu to podtrzymał, prowadząc piękne życie.

Oyungerel Tangad

PROFESOR SZYNKIEWICZ

O dorobku Profesora wiele już napisano i powiedziano. Bez wątpienia był jednym z najważniejszych polskich badaczy Azji, terenowcem. Choć jego nazwisko najczęściej bywa przywoływane w kontekście studiów nad Mongolią oraz Chinami, prowadził badania w kilku krajach tego kontynentu. Jest autorem wielu artykułów, monografii, był promotorem i recenzentem licznych prac naukowych. Moje wspomnienie nie dotyczy jednak wkładu Profesora Sławoja Szynkiewicza w badania azjatyckie, ale jego szczególnego sposobu pracy, który, w moim przekonaniu, także czynił go Profesorem.

Przez kilka lat, aż do emerytury Profesora, miałam przyjemność dzielić z nim pokój w Instytucie Archeologii i Etnologii PAN. Z tą jednostką (funkcjonującą wcześniej pod nazwą Instytutu Historii Kultury Materialnej) był związany właściwie przez cały okres pracy zawodowej. To właśnie przy biurku Profesora w pokoju 315 siedziałam zaraz po rozpoczęciu pracy w Instytucie. Także razem z nim przeprowadziłam się później trzy piętra niżej do pomieszczenia na parterze, pokoju nr 13. Razem przenosiliśmy książki, staraliśmy się dopasować ulubione biurka do nowej, niezbyt ustawnej przestrzeni, wyklóciliśmy się o zniesienie do pokoju na parterze szaf pancernych (trzech!) zawierających „skarby” Profesora z badań terenowych. Nie potrafię pisać o Profesorze Sławoju Szynkiewiczu jako o koledze z pracy. Był raczej Profesorem z pracy. Na rozmowy ze mną poświęcał głównie te chwile, kiedy nabijał i palił fajkę lub kiedy nasz wspólny komputer odmawiał współpracy. To nie znaczy, że był nietowarzystki – fajkę palił wystarczająco często, byśmy zdążyli omówić większość spraw instytutowych i plany na najbliższy czas. Jednak w obydwu dzielonych pokojach Profesor przede wszystkim pracował.

W mojej ocenie styl jego pracy był niezwykle. Uporządkowany, metodyczny, ale zarazem wymagał dużej przestrzeni. Książki, z których korzystał, oraz tysiące zdjęć autorstwa Profesora wypełniały niejedyn pokój ówczesnego Zakładu Etnologii w Instytucie. Wszystkie materiały były dokładnie opisane, równym, czytelnym pismem. Wydaje się, że Profesor Sławoj Szynkiewicz miał opracowaną i przemyślaną całą strategię badawczą. Na własny użytek tworzył słowniki, zapisując znaczenia poszczególnych terminów, ale też konteksty występowania słów i pojęć. Prowadził rozbudowaną kartotekę fiszek – skrupulatny zapis wieloletnich wyników badań. Katalog z fiszkami – gabarytowy mebel z szufladkami rodem z dawnej biblioteki – stanowił dla mnie materialny dowód niezwykłości Profesora, jego unikalnego

stylu pracy, w ramach którego wspomnienia, wrażenia i notatki terenowe były przetwarzane w uporządkowany zasób danych.

Podobny ład panował we wspomnianych szafach pancernych, w których przechowywał fotografie i slajdy. Każdy negatyw był włożony w osobną formatkę, opisany i oznaczony. Tak samo odbitki i slajdy – poukładane, ponumerowane, ręcznie opisane. Miałam okazję wielokrotnie oglądać te fotografie, uczestniczyć też w katalogowaniu nowych. Widziałam, jak Profesor do starszych, czarno-białych odbitek dodawał nowe, kolorowe. Przy tej okazji dowiadywałam się, co robił w terenie, z kim się spotkał, do kogo wracał, na jakie święta był zapraszany, co go interesowało, jakie zmiany cieszyły, a jakie go drażniły. Co niezwykle istotne, Profesor był bardzo dobrym fotografem. I tych pięknych zdjęć: ludzi, zwierząt, krajobrazów, detali sprzętów materialnych czy architektury pozostało w Instytucie tysiące. Profesora Sławoja Szyrkiewicza już z nami nie ma, w „naszych” pokojach pracują inne osoby, ale materialne ślady jego rozległej strategii badawczej zostały: fiszki, szafy pancerne, notatki. Współcześnie pracujemy głównie na laptopach, które zabieramy z biurek i trudno odkryć, czym się zajmowaliśmy, przechowujemy dane na twardych dyskach, podobnie jak pliki z książkami czy artykułami. Profesor pracował w czasach, kiedy sposób prowadzenia badań fizycznie i namacalnie odznaczał się w przestrzeni instytucji. W tej przestrzeni wciąż można rozpoznać metodę badawczą Profesora Szyrkiewicza.

Pierwszy raz spotkałam Profesora podczas studiów w Instytucie Etnologii i Antropologii Kulturowej UW. Prowadził wykłady „z Azji” w ramach modułu Etnografii Społeczeństw Pozaeuropejskich. Przeczytałam wówczas Jego książkę *Pokrewieństwo. Studium etnologiczne*. Jeszcze wcześniej omawialiśmy na zajęciach *Argonautów Zachodniego Pacyfiku* Bronisława Malinowskiego we współtłumaczeniu Profesora. Do dziś pamiętam pytanie zadane mi przez Niego na rozmowie kwalifikacyjnej, kiedy aplikowałam o pracę w Instytucie Archeologii i Etnologii – czy Kurpie „nie udają” tej swojej kultury? Zgodziliśmy się, że trochę udawali. Zatem kiedy przydzielono mi miejsce do pracy w pokoju Profesora, nie był dla mnie postacią anonimową. Wiedziałam, że mam do czynienia z osobą o wysokiej pozycji naukowej, z antropologiczną sławą. Dzieląc z nim pokój, przekonałam się, jak wiele pracy, zaangażowania i organizacji potrzeba, żeby osiągnąć tak wysoką pozycję. Niestety nie mogę napisać, że styl prowadzenia studiów przez Profesora mi się udzielił i od tamtego momentu systematycznie opisuję, kataloguję oraz archiwizuję wszystkie dane z terenu, jakie uda mi się zgromadzić. Pozostają jednak niezwykle wdzięczna za możliwość dostępu do tego niezwykłego systemu pracy, za odkrycie przede mną sposobu radzenia sobie z ogromem (by nie napisać – nadmiarem) danych terenowych z kilkudziesięciu sezonów badań. Jestem głęboko przekonana, że sposób pracy Profesora Sławoja Szyrkiewicza i jego antropologia były jedyne w swoim rodzaju.

Kamila Baraniecka-Olszewska

LITERATURA

- Kabzińska Iwona 2018, Jubileusz osiemdziesięciolecia urodzin prof. dr. hab. Sławoja Szykiewicza, *Wrocławskie Studia Wschodnie*, t. 22, s. 313–320.
- Malinowski Bronisław 1967, *Argonauci Zachodniego Pacyfiku*, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa.
- Potkański Tomasz, Szykiewicz Sławoj 1993, *The Social Context of Liberalisation of the Mongolian Pastoral Economy. Report of Anthropological Fieldwork*, PALD Research Report No. 4, Institute of Development Studies, University of Sussex, Brighton.
- Szykiewicz Sławoj 1981, *Rodzina pasterska w Mongolii*, Ossolineum, Wrocław.
- Szykiewicz Sławoj 1984, *Herosi tajgi. Mity, legendy, obyczaje Jakutów*, Iskry, Warszawa.
- Tangad Oyungerel 2017, Spokrewniony przez naukę – o badaczu rodziny mongolskiej. Dla Profesora Sławoja Szykiewicza w 80. rocznicę urodzin, *Etnografia Polska*, t. 61, z. 1–2, s. 241–245.



Fot. Grób profesora Sławoja Szykiewicza, Cmentarz Prawosławny na Woli, ul. Wolska 138/140, Aleja Główna, kwatery 69, rząd 1/5. Obok znajduje się grób profesora Witolda Dynowskiego.